

PRZEMIANY MAI OSTASZEWSKIEJ

Dzika

Przez lata dostawała w teatrze rolę mimoz typu: „czuję więcej niż inni, widzę więcej”. W zespole śmieją się, że teraz przeistacza się w Odettkę, to kurwiszcze z „Francuzów”.

TEKST ALEKSANDRA GUMOWSKA

Po przedstawieniu „Francuzi” adrenalina nie pozwala jej zasnąć, mimo że zbliża się północ. Zwykle po spektaklach Krzysztofa Warlikowskiego niełatwo wyhamować. W tym jej Odettę de Crécy roznosi energia. Buzuje seksem, uwodzi, ale też melodramatyzuje i walczy z całą zaciekłością. Takie „kurwiszcze” – określa Odette koleżanka ze sceny. Kurwiszcze, zwierzę imprezowe, które próbuje wślizgnąć się na paryskie salony, tylko intelektu jej brak. Przedstawienie Nowego Teatru przyjęło na krakowskim festiwalu Boska Komedii owacją na stojąco.

To był dla Mai Ostaszewskiej dobry rok. Sporo zawdzięcza pani Ani – terapeutce anorektyczek i spirytystce w filmie „Body/Ciało” Małgorzaty Szumowskiej, z którą rozmawiają duchy. Ciepłej, ale pospinanej, małomiasteczkowej i zupełnie odseksualizowanej. Takiej roli Ostaszewska wcześniej nie miała, ścięła do niej włosy i przytyła.

Zaraz potem chudła i opalała się w solarium, bo w „Pitbullu” Patryka Vegi, który wchodzi na ekrany 22 stycznia, dostała rolę seksownej Olki z tatuażem komara nad pośladkiem (Od czego komar?



Od bzykania). – Nie widzę, żeby przestaczała się w jakąś matronę – zauważa reżyser teatralny Krystian Lupa, a ona sama chichocze, że w gangsterskim filmie gra blacharę. W wieku 43 lat.

NABÓJ WYOBRAŻENIA

NA STUDIACH, NA POCZĄTKU LAT 90., CIĄGNAŁ SIĘ ZA NIĄ CIĘŻKI KORZENNY ZAPACH WYJĄTKOWYCH WTEDY PERFUM CAFE. – Pamiętam taki obrazek: Maja siedzi przy stoliku w kawiarni w czarnej długiej sukni, w koronkowych rękawiczkach i zaciekle dyskutuje. Z papierosem w ręku. Oczywiście ciemne włosy i pełny makijaż – wspomina Magdalena Cielecka, koleżanka ze studiów. – Była klasycznym przykładem bohemy, do której ja, dziecinna blondyneczka, mogłam tylko aspirować. Wyobrażałam sobie, że już przeczytała wszystkie te książki, które ja dopiero zaczynałam czytać. Widziałam w niej gotową aktorkę.

– Spontaniczna, niezależna, czuło się, że wie, czego chce – dodaje reżyser Grzegorz Jarzyna, który też studiował w Krakowie. – Miała silną energię, była bezpośrednia i bardzo kontaktowa.

Pochodzi z dobrego krakowskiego domu. Dziadek był artystą rzeźbiarzem, babcia – aktorką. Tata – Jacek Ostaszewski – współzałożycielem kultowego zespołu Osjan, który wprowadzał do Polski „world music”.

Studentka Maja budziła podziw, ale i zawiść, bo na Rynku witała się „cześć, cześć” z Krystianem Lupą i „nazwiskami” Teatru Starego. Rodzice ściągali ich do swojego mieszkania na Krowodrzy. Tam imprezowali i dyskutowali. Dzieci nie były przepędzane. To Lupę Maja poprosiła, żeby zobaczył jej prozę przed egzaminami wstępnymi do szkoły teatralnej. – Byłem zauroczony, coś w tej dziewczynie płonęło – pamięta reżyser. – To była energia tkwiąca nie w ekspresji wypowiedzenia, tylko powiązana z myślą i wyobrażeniem, które ją wypełniało, którym była zahipnotyzowana.

Postrzegał ją jako niezwykłą marzycielkę noszącą w sobie – uważa, że to najtrafniejsze określenie – „nabój wyobrażenia”. – Można mieć wyobrażenie i nic z tym nie robić, a można mieć ta-

kie, które unosi dwa metry nad ziemią, z nieprzepartą wolą, żeby się nim dzielić – wyjaśnia. – Jeśli miała swoją idee fixe, to była tak długo niezadowolona, aż udało jej się ten nabój wyobrażenia ucieleśnić.

Była rebeliantką i outsiderką. Profesorce, która tłumaczyła, jak ma na scenie pić herbatę, odpowiadała: „Tak będzie gorzej”. Część wykładowców chciała ją wyrzucić za to, że była „zbyt dojrzała emocjonalnie”. A jak miała nie być, skoro w liceum po kilkanaście razy chodziła na te same przedstawienia Lupy, czytała Baudelaire’a, Lautréamonta czy Dostojewskiego? W latach 80. widziała Kantora, taniec

Koledzy z Nowego Teatru śmieją się, że zawsze podczas pracy nad nowym spektaklem łapie ją kryzys. Jej rola jest do dupy, jej starania są do dupy i cały projekt jest do dupy

butoh, chodziła na warsztaty aktorów Jerzego Grotowskiego. Ostatecznie murem stanęli za nią Lupa, Jan Peszek i Anna Polony.

HOLOKAUST ZWIERZĄT

NIE CIERPI PRZEMAWIAĆ NA MANIFESTACJACH. Nie lubi tłumy. I – inaczej niż na scenie – na ulicy ma tremę. – Zupełnie tego nie widać – dziwi się Anna Zielińska z Fundacji Viva!, z którą Ostaszewska współpracuje od 15 lat. – Jest z nami i w sprawie bezdomności zwierząt, i przeciwko wywozowi koni na rzeź, i przeciwko skandalicznym warunkom, w jakich są trzymane karpie, i przeciwko eksperymentom na zwierzętach.

– Wolelibyście mieć operację ze znieczuleniem czy bez? – pyta na demonstracji przeciwko ubojowi bez ogłuszania.

W sprawach obrony zwierząt czy środowiska aktorka nie przebiera w słowach. – Trudno mi przebywać obok kogoś w prawdziwym futrze. To obrzydliwe. Taki trupek – robi grymas.

O farmach futrzarskich: – To absolutne barbarzyństwo.

O uboju rytualnym: – Straszne. Ogromny ból. Zwierzę się dusi, bo płuca zalewa mu krew.

Obawia się łatki wrażliwej idiotki, więc zawsze się dobrze przygotowuje: do akcji Klubu Gaja „Nie kupujemy żywych karpie”, do filmu dokumentalnego „Jutro będzie futro” o farmach futrzarskich, do akcji WWF przeciwko dewastowaniu Karpat. Dużo tego, ale uważa, że to ważne. Cieszy się, że dzięki roli w „(A)pollo-nii” Warlikowskiego, gdzie robi wykład o holokaucie zwierząt, kilka osób zapewniło ją, że przestanie jeść mięso.

TANIEC NA ŚMIECIARCE

NIE CHODZIŁA NA RELIGIĘ. Dzieci na podwórku straszyły, że skoro jest nieochrzczona, to jak wsiądzie do windy, diabeł porwie jej duszę. Albo że duch z nią zostanie – kiedy w sanatorium wywoływali duchy.

Dzieci zrzuciły ją ze schodów, kiedy obcięła włosy na krótko. To była czwarta albo piąta klasa podstawówki – w Jeleniej Górze, bo rodzice przenieśli się na 3,5 roku w Karkonosze.

Współzakładali tam w stanie wojennym ośrodek buddyźmu zen. Mieszkali z Korą, Markiem Jackowskim i ich synem Mateuszem.

Podkreślają, że nie byli hipisami. Że w tych Karkonoszach nie działo się nie wiadomo co. Ot, praktyka buddyjska – z jednej strony wolność, z drugiej wewnętrzna dyscyplina.

Zrzucenie ze schodów i obcięcie włosów zapoczątkowały bunt nastoletniej Mai już po powrocie do Krakowa: skóry, glany, ćwieki, piesszochy, szmaty zamiast ubrań, naszyjniki ze spinaczy. Zachowywała się beczelnie i ostentacyjnie, widziano ją tańczącą na śmieciarce, ale rodzice nie niepokoili się. – Zawsze mówiła, dokąd idzie, wiedzieliśmy, z kim jest – mówi Małgorzata Ostaszewska. – Raz wyrznięta na imprezie

Maja Ostaszewska podczas próby do spektaklu „Francuzi” na festiwalu Ruhrtriennale, Gladbeck, Niemcy, 20 sierpnia 2015 r.

głową we framugę, ale znajomi, z którymi była, wezwali pogotowie. Zaopiekowali się nią.

REWOLUCJA Z BZIKIEM

JAKO JEDNA Z PIERWSZYCH DOŁĄCZYŁA DO REWOLUCJI GRZEGORZA JARZYNY. Do zespołu Teatru Rozmaitości w Warszawie ścigał aktorów ze szkoły w Krakowie.

– Pamiętam ten czas jako nieustanne imprezy, z historiami, których większość jest nie do przytoczenia – śmieje się Magdalena Cielecka. Bawili się w teatrze – na scenie, w foyer, w garderobach, ale też po domach – u Cezarego Kosińskiego na przykład, gdzie jego mała Julka spała za ścianą. Tworzyły się pary, rozpadały, powstawały nowe. Wyrwali się spod skrzydeł mistrza Lupy i z mieszczańskiego Krakowa ruszyli zdobywać Warszawę. Krytycy okrzyknęli ich rewolucjonistami, jedni odsądzała od czci i wiary, inni z miejsca pokochali.

– Wystawiali „Uroczystość”, sztukę o molestowaniu przez ojca, kiedy jeszcze nikt o tym nie pisał. Pocałunek homoseksualnej pary widziałam najpierw na scenie, a dopiero potem w życiu – wspomina Izabela Szymańska, krytyczka teatralna, rocznik 1983, dla której teatr „sprzed Jarzyny” nie istniał. – Myślę, że Rozmaitości ukształtowały moje pokolenie.

Imprezy Teatru Rozmaitości stały się słynne na całą Warszawę. – Razem robiliśmy próby, trzymaliśmy się po spektaklu, dyskutowaliśmy o najważniejszych rzeczach. Nie wychodziliśmy z teatru. Mieliliśmy poczucie marnowania czasu na zewnątrz – tak to pamięta Grzegorz Jarzyna.

Ostaszewską obsadził w „Bziku tropikalnym” według Witkacego w roli uwodzicielskiej Ellinor – niby kruchej, ale potrafiącej postawić na swoim arystokratki. – Z Mają szło się zawsze do końca, do wyprucia flaków – mówi.

FARSA PO RAZ PIERWSZY

– **PRZEZ LATA** DOSTAWAŁA W TEATRZE ROLE MIMOZ typu: „czuję więcej niż inni, widzę więcej niż inni, jestem w swoim świecie”. Taka była Anieli z „Magnety-



zmu serca”, Harper z „Aniołów w Ameryce” – ocenia Izabela Szymańska.

A zaszufładowania Ostaszewska boi się bardzo. Szufłada groziła jej po Katyniu, kiedy dostawała wyłącznie propozycje ról w filmach wojennych. Po roli Beaty w serialu „Przepis na życie” sygnęły się propozycje ról komediowych.

Kiedy Krystyna Janda zaproponowała jej i Magdalenie Cieleckiej role w „Upadłych aniołach”, zdziwiła się, bo nigdy w życiu nie grała w farsie. – Dobra aktorka da sobie radę w każdym gatunku – uważa Janda. I rzeczywiście publiczność „Och-Teatru” pokłada się ze śmiechu.

Hanna Krall upatrzyła ją sobie do czytania swoich utworów. – W moich książkach więcej dzieje się między słowami niż w słowach i Maja Ostaszewska to bezbłędnie słyszy. Słyszy milczenie. A także coś, co jest czasami autoironią, co pozwala mi zachować bezpieczną odległość od koszmaru, o którym piszę.

– Ma świetny talent komediowy. Chciałabym też zobaczyć ją grającą w dobrej choreografii, bo wydaje mi się, że równie dużo co słowem jest w stanie opowiedzieć ciałem – uważa Szymańska.

MISTRZYNI PSA Z GŁOWĄ W DÓŁ

CI, KTÓRZY JĄ ZNAJĄ, MÓWIĄ: „TRUDNO JEJ NIE LUBIĆ”. Miła, uprzejma, nie histeryzuje, nie gwiazdorzy. Tylko ten uśmiech nie wiadomo skąd taki melancholijny.

Potrafi złapać doła, że źle się dzieje w naszym kraju (i pójść na demonstrację). Albo po filmie, np. po „Melancholii”. Albo wtedy, kiedy dopada ją dojmujące uczucie przemijania. Mniej dziś dołuje się rolami, których nie dostała. Jasne, jest jej przykro, kiedy z niej rezygnują i nie mają nawet na tyle kultury, żeby zadzwonić i o tym powiedzieć. Buntuje się czasem, że na casting nie pójdzie, bo ile razy ją mogą castingować, ale do najciekawszych ról jednak idzie.

– To się bardzo przydaje w aktorstwie, ale denerwuje mnie w życiu – jestem trochę dwubiegunowa – przyznaje. – Mam superpower, energię i nagle łapię doła, ciężką melancholię.

Koledzy z Nowego Teatru śmieją się, że zawsze podczas prac nad nowym spektaklem łapie ją kryzys. Jej rola jest do dupy, jej starania są do dupy i cały projekt jest do dupy. Kiedyś z tych dołów psychicznych podnosiły ją buddyzm i joga. Teraz – dzieci.

Urodziny Cieleckiej w Tajpej przeszły do historii trupy Warlikowskiego. Wystawiali tam „(A)pollonię” i po ostatnim spektaklu Cielecka zaprosiła zespół do pobliskiej restauracji. Skończyło się kompletnym bzikiem i dzikimi tańcami. – Maja tańcząc, ćwiczyła jogę i została okrzyknięta Mistrzynią Tańca Psa z Głową w Dół – aktorka przywołuje pozycję z jogi. – Nie lubi śpiewać, a w tym szaleństwie zaśpiewała dla mnie przedwojenny hit „Na pierwszy znak”. Wyszliśmy z tej restauracji nad ranem w zupełnym rozpadzie.

Ten czas teraz jakby wraca. Dzieci odchowane, Franek ma 8, Janinka 6 lat, znów ma nieco luzu na zabawę. W zespole śmieją się, że przeistacza się w Odettkę (to kurwiszcze). – Czasem trzeba coś w sobie rozedrgać do roli – śmieje się Ostaszewska – ale do Odettki mi daleko. **N**

aleksandra.gumowska@newsweek.pl